



DODATEK SPECJALNY – część 15

Od płynnej rzeczywistości do płynnej płci

- Prawne aspekty zmiany płci
 - Sport w imię ideologii?
 - Zmień płeć, będziesz fajny



FOT. ANDRZEJ STOK

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl



Prawne aspekty „zmiany



Weronika Kudła

Obrany przez wiele państw zachodnich kierunek zmian w procedurze prawnej zmiany płci, która ma być przede wszystkim tania, łatwa pod względem formalnym, szybka w realizacji i dostępna dla każdego bez ograniczeń wiekowych, przybliżyła nas coraz bardziej ku zasadniczemu pytaniu o pewność takiego prawa

Możemy się zastanawiać, dlaczego niektórzy ludzie są transseksualistami. Możemy proponować wszelkiego rodzaju teorie lub opowiadać ciekawe historie o tym, jak można być „trans”. Ostatecznie jednak musimy po prostu przyjąć, że pewna niewielka część populacji (być może włączając nas samych) jest po prostu taka, a nie inna. Transpłciowość (ang. transgender) to słowo, które ze sfery całkowicie prywatnej, ukazywanej głównie z perspektywy medyczno-psychologicznej,

weszło do powszechnego użytku dopiero kilka dekad temu. W akronimie LGBT+ to właśnie sekcja „T” określa osoby, które odchodzą od płci przypisanej im przy urodzeniu, przekraczając granice płciowości „narzuconej” im przez biologię.

Silne poczucie przynależności do płci innej niż ta wpisana w akt urodzenia to nie tylko problem dotyczący sfery wewnętrznej, osobistej, lecz także w coraz większym stopniu jest to właśnie zagadnienie społeczne, kulturowe, religijne, wreszcie – również prawne. Odejście

od oznaczonej w akcie urodzenia płci męskiej albo żeńskiej stanowi bowiem naruszenie żelaznych i do niedawna niepodważalnych praw logiki, według których dzielenie ludzi na mężczyzn i kobiety to wzorcowy przykład poprawnego podziału logicznego spełniającego warunki rozłączności i zupełności. Wzdłuż linii tak przyjętego właśnie rozróżnienia funkcjonuje większość społeczeństw, co znajduje swoje konkretne odzwierciedlenie w przyjętych przepisach prawnych kształtujących różne dziedziny funkcjonowania człowieka w życiu publicznym.

Choć dysonans między płcią biologiczną a psychiczną istniał od zarania dziejów ludzkości, to dopiero od końca XIX w. zaczęto się zajmować transpłciowością na polu naukowym. Sam termin „transseksualność” został po raz pierwszy użyty dopiero na początku XX w. jako rezultat postępu w medycynie, dla której przerwanie ciągłości tkanek za pomocą skalpela przestało być już synonimem nieuniknionej śmierci. Dużą zasługę w tym miał niemiecki lekarz i seksuolog Magnus



FOT. ANDRZEJ STOK

płci”

Hirschfeld. Medycyna dla osób skazanych na udrękę psychiczną z powodu odrzucenia swojej biologicznej płci okazała się jednak mieczem obosiecznym, gdyż podejmowane próby operacyjnej zmiany płci uzasadniano stanem chorobowym pacjenta. Zauważyć bowiem trzeba, że gdy w 1949 r. amerykański seksuolog David Oliver Cauldwell w eseju zatytułowanym „Psychopatia transexualis” zawarł współcześnie nam znaną definicję transseksualizmu, to z uwagi na ograniczenia narzucone przez naukę uznawał on operację zmiany płci za niedopuszczalną, w zamian zalecając traktować ją jako zaburzenie psychiczne. Idąc tym właśnie tropem, przez kolejne kilkadziesiąt lat w klasyfikacji zaburzeń psychicznych Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego zaburzenia tożsamości psychospołecznej traktowano jako jedną z odmian dewiacji i zaburzeń seksualnych.

Dopiero w 2013 r. użyty tam termin „zaburzenia tożsamości płciowej” zastąpiono „dysforią płciową”. Natomiast w 11. rewizji Międzynarodowej Klasyfikacji Chorób

i Problemów Zdrowotnych (ICD-11), która zaczęła obowiązywać od 1 stycznia 2022 r. z pięcioletnim okresem przejściowym, termin „dysforia płciowa” przeniesiono z listy zaburzeń psychicznych do działu związanego ze zdrowiem seksualnym, nadając mu nowe określenie „niezgodności płciowej”. Według obecnego stanowiska WHO, mając na względzie wiedzę medyczną, transpłciowości nie można bowiem traktować jako choroby psychicznej i tym samym stygmatyzować osób, których ona dotyczy.

MEDYCINA TO NIE PRAWO

Zmiana optyki dotyczącej binarnego ujęcia płci w medycynie i psychologii oraz związanego z tym postępowania terapeutycznego znacząco wpłynęła na postrzeganie transpłciowości w ujęciu społecznym i prawnym. Trwający proces zwiększenia społecznej akceptacji wobec osób transpłciowych nadal napotyka wiele przeszkód, gdyż jest to wciąż mało znana, a więc tym samym nieskonkretyzowana przestrzeń, podatna na różnorakie starcia o podłożu światopoglądowym zakotwiczone w historii, kulturze czy religii.

Poruszanie się trochę po omacku w sferze ochrony praw człowieka osób transseksualnych sprowadza się głównie do konieczności ochrony tych właśnie osób przed uprzedzeniami, stereotypami i dyskryminacją. Z pola widzenia umykają nam jednak kluczowe aspekty praktyczne społecznej koegzystencji w szkole, pracy, na uniwersytecie czy boisku osób transpłciowych z tymi, u których nie występuje niezgodność płciowa. Zalecenia i rekomendacje wydawane przez organy traktatowe ONZ (zwłaszcza zatwierdzenie w 2006 r. tzw. zasad Yogyakarty dotyczących ochrony praw człowieka w odniesieniu do orientacji seksualnej i tożsamości płciowej, uzupełnionych w 2017 r. o tzw. Zasady Yogyakarty +10) nie oddziałują na systemy prawne w poszczególnych zakątkach świata z taką samą siłą, w wielu z nich pozostając wciąż w sferze życzeń. O ile bowiem we współczesnej medycynie możemy mówić o przebytej ewolucji, w wyniku której wypracowano w miarę jednolity schemat postępowania ze zmianą płci, o tyle sytuację prawną w poszczególnych krajach świata, w których żyją osoby transpłciowe, można skwitować krótką maksymą quod homines, tot sententiae. Nadal przecież są kraje, w których ekspresja transpłciowości rozumiana jako odstępstwo od przyjętych norm społecznych jest czynem karnym, więc nie ma mowy o jakimkolwiek

prawnym uznaniu zmiany płci. Te kraje to m.in. Brunei, Kuwejt, Malezja, Oman, Tonga, Sudan Południowy czy ZEA, w których mężczyznom naśladowującym płęć przeciwną, zwłaszcza ubiorem, grozi kara do roku pozbawienia wolności oraz grzywna. W Arabii Saudyjskiej, w której wyroki wydawane są na podstawie interpretacji prawa szariatu, za tzw. cross dressing grozi również kara chłosty, z kolei w nowym kodeksie karnym tego kraju dla mężczyzn „publicznie udających” kobietę wyglądem i ubiorem będzie przewidziana kara aż trzech lat więzienia. Są to rozwiązania skrajne, zmuszające osoby transseksualne do życia w ukryciu.

Na drugim krańcu wachlarza przyjętych unormowań prawnych dotyczących osób transpłciowych odnajdujemy przepisy mające na celu zapewnienie osobie nieidentyfikującej się z płcią biologiczną jak najszerszego zakresu praw odnoszących się zarówno do sfery prywatnej, jak i publicznej, co w niektórych przypadkach staje się wręcz uprzywilejowaniem tej mniejszościowej grupy społecznej.

MOMENT PRZEŁOMOWY

Przełomem w historii zagadnienia transseksualizmu był moment, w którym znaczna część społeczeństwa zdała sobie sprawę z tego, że w wyniku pomyślnie przeprowadzonej terapii hormonalnej oraz zabiegu chirurgicznego zmiana płci biologicznej jest możliwa. Dokładnie tym momentem było opublikowanie na pierwszej stronie poniedziałkowego wydania amerykańskiego dziennika „New York Daily News” z 1 grudnia 1952 r. zdjęć Georga Williama Jorgensena, który, poddawszy się w Danii terapii hormonalnej oraz zabiegowi usunięcia męskich narządów płciowych (zabieg waginoplastyki wykonano dopiero w 1954 r.), stał się Christine Jorgensen. Historia weterana wojennego z Bronxu o znaczącym tytule „Były żołnierz stał się piękną blondynką” (ang. „Ex-GI Becomes Blonde Beauty”) stała się prawdziwą sensacją, sam zaś Jorgensen na trwałe wpisał się w historię transpłciowości w Stanach Zjednoczonych jako promotor osób transseksualnych.

Z prawnego punktu widzenia dla Christine Jorgensen nic się jednak nie zmieniło. W dokumencie tożsamości i na akcie urodzenia nadal widniało oznaczenie płci jako męskiej. Z tego też powodu niepowodzeniem zakończyła się próba zawarcia małżeństwa, gdyż urząd stanu cywilnego odmówił wydania aktu zawarcia małżeństwa osób tej samej płci. Mimo

trwającej rewolucji seksualnej amerykańskie sądy w latach 60. konsekwentnie odmawiały osobom poddanych korekcie płci zmiany imienia oraz oznaczenia płci w akcie urodzenia.

Po serii zamieszek środowisk LGBT na ulicach amerykańskich miast w 1975 r. Minneapolis stało się pierwszym miastem, które uchwaliło prawo zakazujące dyskryminacji osób transpłciowych (dopiero w 1993 r. Minnesota jako pierwszy amerykański stan rozszerzyła ochronę przed dyskryminacją na osoby transpłciowe, a po niej, w 2001 r., zrobił to stan Rhode Island). W tym samym 1975 r. sąd stanu Connecticut (sprawa Darnell vs. Lloyd) stwierdził, że urzędnik stanu cywilnego odmawiający dokonania zmiany płci zapisanej w akcie urodzenia musi wykazać „istotny interes państwa”, co w kilku przypadkach pozwoliło osobom po tranzycji medycznej dokonać zmian w dokumentach urzędowych. Jednakże mimo upływu kilku dekad i wbrew oczekiwaniom środowisk trans możliwości prawnej zmiany płci na dokumentach urzędowych w Stanach Zjednoczonych nadal uwarunkowane są przepisami poszczególnych stanów i nie ma do tej pory wprowadzonych jednolitych procedur na poziomie federalnym. Obowiązujące w trzech amerykańskich stanach (Tennessee, Oklahoma oraz Montana) prawo nadal zabrania bowiem dokonywania prawnej zmiany płci w akcie urodzenia. Remedium na zawieszenie osób transseksualnych w urzędniczym chaosie z pewnością będzie realizacja obietnic złożonych w czerwcu 2021 r. przez Amerykańskie Towarzystwo Medyczne, które optuje za wykreśleniem oznaczenia płci z publicznej części aktu urodzenia. Informacje o płci przy urodzeniu będą nadal przekazywane i gromadzone, lecz wyłącznie do celów medycznych, zdrowotnych i statystycznych. Postulat ten ma na celu poszanowanie prawa do określenia swojej tożsamości płciowej, a także ochronę indywidualnej prywatności i zapobieganie dyskryminacji.

Myli się jednak ten, kto Stany Zjednoczone uznawałby za pioniera w uregulowaniu kwestii prawnych związanych ze zmianą płci. Obecnie faktycznie wiodą one prymat w jak najszerzym dostosowywaniu się do potrzeb środowiska LGBT+ i robią to w naprawdę zawrotnym tempie, uznając na poziomie federalnym legalność małżeństw jedнопłciowych i zaliczając tożsamość płciową za chronioną (zgodnie

To Szwecja zaczęła pierwsza regulować zmiany płci u osób zdiagnozowanych jako transseksualne, nastąpiło to z ustawą przyjętą w 1972 r.

z tytułem VII ustawy o prawach obywatelskich z 1964 r.) podstawę niedyskryminacji w miejscu pracy. Jednak to Szwecji należy przyznać palmę pierwszeństwa w prawnym uregulowaniu zmiany płci u osoby zdiagnozowanej jako transseksualna, co nastąpiło wraz z ustawą przyjętą w 1972 r. Zaświadczenie o przynależności do płci innej niż wskazana w akcie urodzenia, będące podstawą sprostowania zapisu w akcie urodzenia i zmiany imienia, było tam wydawane przez komisję wyłącznie obywatelom Szwecji stanu wolnego, którzy ukończyli 18. rok życia, u których transseksualizm ma charakter trwały i nieodwracalny (do roku 2013 jednym z wymogów tranzycji prawnej była też trwała niemożność płodzenia albo rodzenia, co w praktyce wiązało się z koniecznością dokonania legalnej sterylizacji).

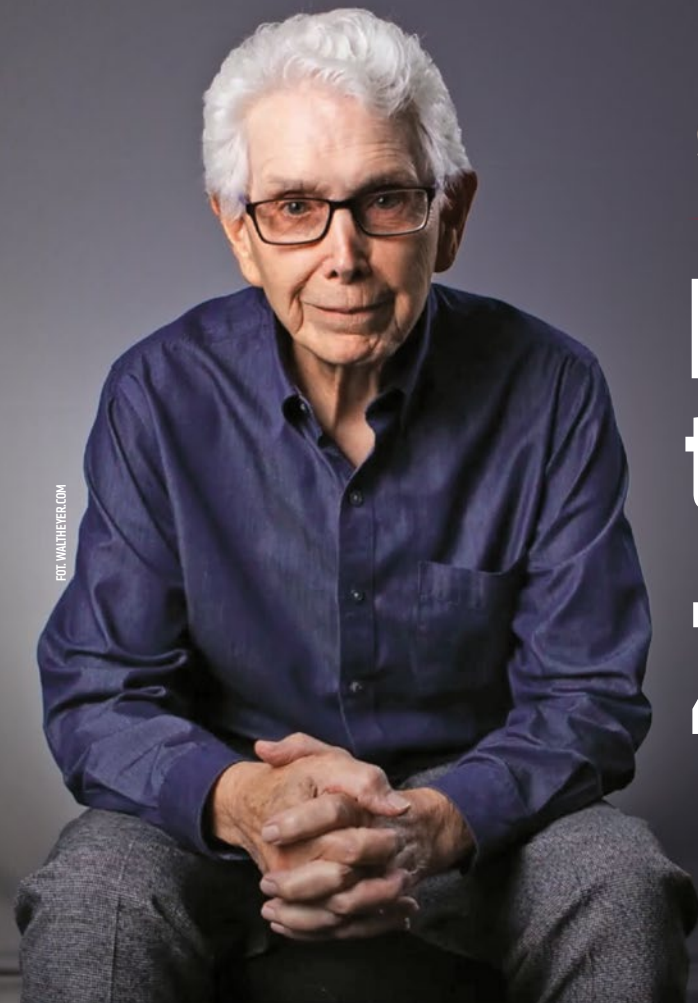
Podobne rozwiązania prawne, oparte na połączeniu procedury prawnej z psychologiczno-medyczną terapią, wprowadzono w Niemczech od 1981 r., a później na przestrzeni kilkunastu lat także w wielu, lecz nie we wszystkich krajach Europy (zakaz prawnego uznania zmiany płci obowiązuje m.in. na Węgrzech).

DEKLARACJA SAMOSTANOWIENIA

Jeszcze nie tak dawno temu bliska ideałowi jawiła się ścieżka aplikacyjna przyjęta w Wielkiej Brytanii w ustawie o uznaniu płci z 2004 r. (Gender Recognition Act 2004). Jednak w ostatnich latach, pod wpływem działalności orzeczniczej ETPC oraz zintensyfikowanych działań środowiska LGBT+, wiele krajów poluzowało wymogi prawne stawiane osobom transpłciowym (do 2017 r. usunięto nakaz poddania się nieodwracalnym zabiegom medycznym, w tym sterylizacji) po to, aby prawne uznanie zmiany płci odbywało się w sposób szybki, przejrzysty i przystępny. Tym sposobem już w dziesięciu krajach Europy (Danii, Norwegii, Belgii, Islandii, Irlandii, Luksemburgu, Malcie, Portugalii i Szwajcarii) prawne uznanie zmiany płci oparte jest o tzw. deklarację samostanowienia, która w środowisku osób transseksualnych

uchodzi za złoty standard prawnego uznania zmiany płci. Jest ona mało inwazyjna, bo nie wiąże się z koniecznością podjęcia jakiegokolwiek interwencji medycznej, przez co nie utrwała fałszywych założeń, że bycie trans to choroba psychiczna.

Spoglądając na aktualną mapę przyjętych procedur prawnego uznania zmiany płci w krajach Unii Europejskiej, wyraźnie widać, że droga ku ich ujednoczeniu pozostaje wciąż długa i wraz z kolejnymi wprowadzanymi „udogodnieniami” dla osób trans coraz bardziej przytłaczająca dla reszty społeczeństwa. Mimo że nadal w większości krajów europejskich, tak jak w Polsce, prawne uznanie zmiany płci uzależnione jest od wydania orzeczenia sądowego po uprzednim zebraniu medycznych „dowodów” transpłciowości (np. diagnoza dysforii płciowej, testy psychologiczne, leczenie hormonalne, operacja zmiany płci), to widmo dominacji trendu samostanowienia o własnej tożsamości płciowej staje się coraz bardziej realne. Oddalanie się od jak by nie było obiektywnych medyczno-psychologicznych przesłanek przekłada się też na zmniejszenie pewności prawnej co do motywów i trwałości dokonywanych zmian. Szczególnie niebezpieczne jest tu zniesienie konieczności pozostawiania w stanie wolnym, a wreszcie i bycia pełnoletnim, co rodzi niebywałe trudności dla małżeństw i rodzin. W gruncie rzeczy o transpłciowości decyduje bowiem tylko ta osoba, która sama zalicza siebie do społeczności osób transpłciowych i jest władna samodefiniować się w opozycji do płci metrykalnej, utożsamiać się z więcej niż jedną płcią lub też z żadną z nich. Możliwość wyboru jest zatem wiele, a i katalog form tranzycji wciąż się rozrasta od bardziej tradycyjnych oraz co do zasady trwałych i nieodwracalnych operacji chirurgicznych, którym poddawane są nawet dzieci, do używania nowych zaimków osobowych lub zmian imienia, które mogą być jedynie czasowe. Na tle tych rozważań wypada stwierdzić, że obrany przez wiele państw zachodnich kierunek zmian w procedurze prawnej zmiany płci, która ma być przede wszystkim tania, łatwa pod względem formalnym, szybka w realizacji i dostępna dla każdego bez ograniczeń wiekowych, nakazuje pytać o pewność takiego prawa. Czy system prawnego uznania zmiany płci w takiej właśnie postaci przetrzyma próbę czasu?



FOT. WALTERHEER.COM



Z Waltem Heyerem, amerykańskim pisarzem, który dokonał detranzycji i ostrzega przed niebezpieczeństwami „zmiany płci” rozmawia Piotr Włoczyk

Promowanie tranzycji to zbrodnia

PIOTR WŁOCZYK: Dlaczego porównuje pan zmianę płci do lobotomii?

WALT HEYER: Ponieważ to dokładnie takie samo szarłataństwo. Wiem coś o tym, ponieważ sam padłem ofiarą oszalałych lekarzy, według których okaleczenie ciała może przynieść szczęście. Kiedyś chirurdzy uważali, że dzięki lobotomii, czyli wycięciu kawałka mózgu, można leczyć choroby psychiczne. Ludzie ci byli dumni ze swoich osiągnięć i mieli duże grono zwolenników. Dziś wiemy już, że takie metody były zwykłym barbarzyństwem i przynosiły jedynie cierpienie. Obecnie światowa medycyna wołałaby zapomnieć o tamtym rozdziale. Jestem przekonany, że niedługo tak samo będzie z lekarzami, którzy dziś – bez oparcia w faktach – przekonują, że hormony i skalpel to najlepsza odpowiedź na zaburzenia identyfikacji płciowej, że rozwiązaniem problemu jest dostosowanie wyglądu ciała do tego, jak chciałyby je widzieć głowa. Mamy coraz więcej przypadków detranzycji – gdy ofiary próbują cofnąć skutki operacji „zmiany płci” – i niedługo ci specjaliści

będą żałowali, że brali udział w tych potwornych eksperymentach. Tak samo jak w przypadku chirurgów, którzy stosowali lobotomię.

Ille lat minęło w pańskim przypadku od tranzycji do detranzycji?

Osiem lat żyłem jako Laura Jensen. Operację, która na zawsze mnie okaleczyła, przeszedłem w 1983 r. To była droga donikąd. Rozbiłem rodzinę, sprawiłem wiele cierpienia nie tylko sobie, lecz także swoim bliskim. Uwierzyłem ludziom, którzy twierdzili, że problemem nie jest moja głowa, lecz ciało. Że to moje ciało należy uleczyć, a nie psychikę. I dlatego dziś robię wszystko, by jak najmniej osób popełniło ten błąd. Wykorzystuję każdą okazję, by głośno krzyczeć: „Nie róbcie sobie tego! Nie słuchajcie tych szarlatanów, bo szybko zrozumiecie, że hormony i operacje nie przynoszą ukojenia, lecz tylko pogłębią już istniejące problemy”.

Co było źródłem pańskich problemów? Dlaczego tak źle pan się czuł w swoim męskim ciele?

To wynikało z kilku przyczyn. Zaczęło się niewinnie w 1944 r., gdy miałem cztery lata. Moja babcia utwierdzała mnie w przekonaniu, że pięknie wyglądam w sukienkach. To pierwszy krok prowadzący do tragedii. Nie wolno zasiewać tego ziarna. Jeżeli w patologiczny sposób będziemy przekonywać małe dziecko, że lepiej mu w „innej skórze”, to może to mieć dla niego bardzo złe konsekwencje. W tym momencie mówimy bowiem dziecku, że coś jest z nim nie tak. Potem było molestowanie. Gdy miałem dziewięć lat, wykorzystał mnie wujek. Ta trauma spowodowała wiele zmian w psychice, które pogłębiały u mnie coraz głębszą niechęć do mojej męskości.

Jak wyglądało badanie przed operacją?

Dziś już wiem, że to wyglądało jak żart, a nie jak badanie. Niestety, obecnie takie badania wcale nie wyglądają lepiej. Psycholog Paul Walker, który notabene był aktywistą LGBT, stwierdził, że jak najbardziej potrzebuję operacji „zmiany płci”. Badanie było zrobione bardzo powierzchownie. ■

Przykładowo Walker w ogóle nie zwrócił uwagi na to, że w dzieciństwie byłem ofiarą molestowania. Dziś mamy do czynienia z podobnym „automatem”. Zagubiony człowiek przychodzi do „specjalisty” od transpłciowości i właściwie pewny jest, że będzie zachęcany do operacji.

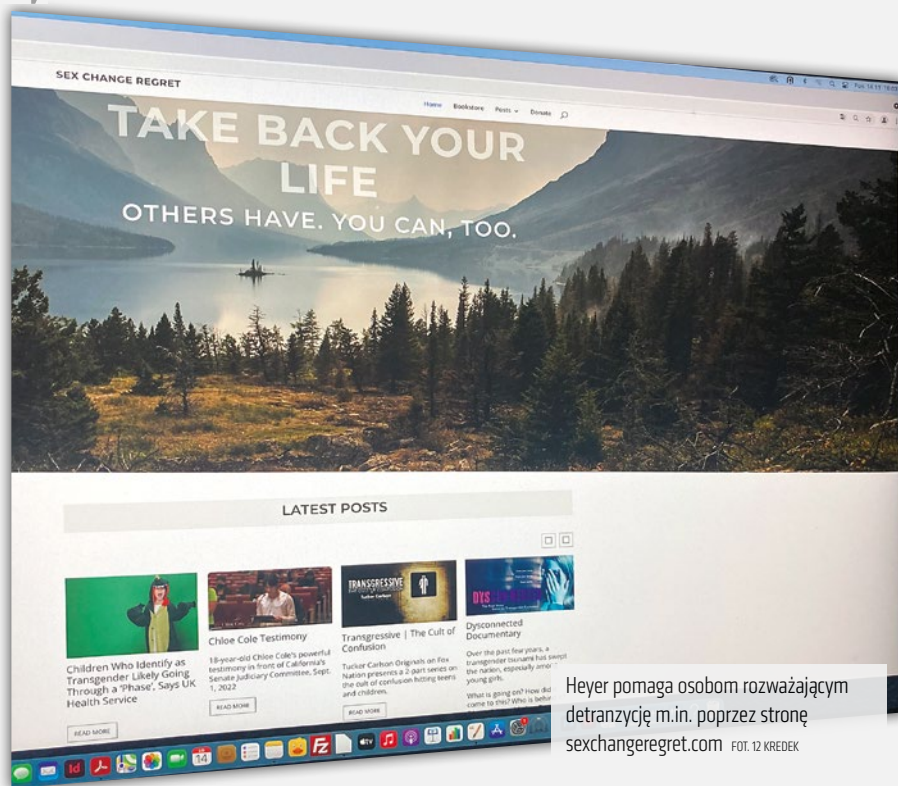
Porządne badanie przeszedłem dopiero po tym, gdy okaleczyłem swoje ciało. Osiem lat po operacji psychiatra znający się na rzeczy powiedział słowa, które sprawiły, że mój świat rozleciał się na małe kawałki: „Walt, nigdy nie powinienesz być zostać poddany takiej operacji”. Dlaczego? Ponieważ cierpiałem na zaburzenia dysocjacyjne i osobowościowe. To częsta przypadłość wśród transseksualistów. To był początek prawdziwego leczenia. Musiałem się uporać z problemami psychicznymi. W końcu zaakceptowałem to, kim jestem. Uwolniłem się od prześladowających mnie myśli, które kazały mi nienawidzić moją męską postać. Potem przeszedłem kolejne operacje. Tym razem były to operacje pozwalające mi wrócić do mojej męskiej postaci, oczywiście na tyle, na ile to było możliwe, ponieważ wcześniej na zawsze się okaleczyłem.

Czy zawsze tak to się kończy? W mediach społecznościowych możemy znaleźć tysiące relacji transseksualistów, którzy przekonują, że dzięki operacji narodzili się na nowo i ich życie wygląda teraz wspaniale.

Zupełnie mnie to nie dziwi, ponieważ sam byłem w tym miejscu. Euforia po operacji to naturalny stan rzeczy. Korzystają z tego aktywiści LGBT, którzy w ten sposób reklamują transpłciowość jako coś wspaniałego: „Zobaczcie, jak ci ludzie są uśmiechnięci! Nikt tu niczego nie udaje! Zalecane terapie po prostu działają!”. Ale to nie jest prawda. Ta euforia z każdym kolejnym rokiem coraz bardziej przemija. Zawsze porównuję to do imprezy. Pijemy drinka za drinkiem, bawimy się świetnie, na parkiecie nikt nie może się z nami równać. Rozrywa nas radość. Ale potem przychodzi poranek i czujemy się najgorzej na świecie...

Wydał pan wiele książek na temat zagrożeń ze strony aktywistów transpłciowych, prowadzi pan też stronę internetową sexchangeregret.com, gdzie osoby rozważające detransycję mogą znaleźć pomoc. Jakie osoby zgłaszają się do pana?

To są przeróżne historie. Opowieści ofiar translobby rozdzierają serce. Kiedyś dostałem e-maila, którego nigdy nie zapomnę: „Daj mi jeden dobry powód, że-



bym nie strzelił sobie w głowę. Nie mogę uwierzyć w to, że cały ten sztab lekarzy pozwolił mi okaleczyć moje ciało”.

Z moich obserwacji wynika, że przeciętnie w okolicach piątego roku po tranzycji ludzie zaczynają szukać pomocy. Ale bywają też przypadki, gdy dochodzi do tego dużo szybciej. Obecnie pracuję z człowiekiem, który chce odwrócić efekty operacji, którą przeszedł zaledwie osiem miesięcy temu. Inna z osób, które zwróciły się do mnie ostatnio z prośbą o pomoc, wytrzymała aż 15 lat, ale w końcu stwierdziła, że to nie biologia jest u niej problemem.

Piszą też do mnie ludzie bardzo młodzi, ponieważ ostatnie lata to prawdziwa plaga tranzycji wśród młodzieży. Chłopak dostał blokery dojrzewania w wieku 15 lat, przeszedł operację trzy lata później – niestety „pomagali” mu w tym rodzice. Skontaktował się ze mną w wieku 19 lat. Powiedział, że czuje się jak potwór Frankensteina. To są jego słowa! Przyznał, że od 13. roku życia uzależniony był w ekstremalny sposób od pornografii i to wykoleiło jego psychikę. Rodzice muszą pamiętać, że Internet to miejsce pełne ogromnych zagrożeń. Ponad połowa ludzi, z którymi pracuję – ta grupa liczy już setki osób – była wykorzystywana seksualnie. To właśnie krzywda w dzieciństwie bardzo często sprawia, że ludzie zaczynają nienawidzić swojego ciała.

Jak działa ten mechanizm?

Niektóre molestowane dziewczynki uważają, że ich narządy płciowe są

„winne” ich tragedii. I dlatego chciałyby wyglądać zupełnie inaczej. Wydaje im się, że gdyby wyglądały jak chłopcy, to nie doszłoby do ataku seksualnego. Tu się zaczyna tragedia odrzucenia swojej własnej płci. Działa to oczywiście też w drugą stronę w przypadku niektórych molestowanych chłopców.

W 2007 r. szpital dziecięcy w Bostonie stał się – jak się chwali jego zarząd – pierwszą specjalistyczną instytucją w USA, która skupia się na „pomocy transpłciowym dzieciom i nastolatkom”. Dekadę później było już 50 takich miejsc. Co to oznacza dla amerykańskich dzieci?

Widzimy, że ten trend błyskawicznie się rozprzestrzenił i dlatego dzieci mogą coraz łatwiej paść ofiarą szalonych ideologów spod znaku LGBT. Przez całe wieki, gdy chłopiec mówił, że jest dziewczynką – albo odwrotnie – rodzice po prostu to ignorowali. I było to jak najbardziej właściwe podejście, nic złego się nie działo. Jak bowiem pokazują badania naukowe, ok. 90 proc. dzieci, które w dzieciństwie sygnalizują problem z identyfikacją płciową, wyrasta z tego w sposób naturalny, zanim osiągną pełnoletność.

Dziś niestety wygląda to zupełnie inaczej. Jeżeli dziecko ma rodziców ufających aktywistom LGBT, to w przypadku pojawienia się sygnałów, które kiedyś zostałyby po prostu zignorowane i szybko same by zanikły, rodzice zabierają swoją pieczę do specjalistów od tranzycji.

Jeżeli raz przekroczą próg takiej kliniki, to ta droga w zdecydowanej większości przypadków prowadzi już tylko w jedną stronę – w stronę tragedii. To dla mnie niepojęte. W liberalnych kręgach społecznych rodzic, który pozwala na brutalne krzywdzenie własnego dziecka – bo tym jest przecież tranzycja płciowa – jest uważany za świadomego, mądrego rodzica... Gdyby taki rodzic pozwolił komuś połamać swojemu dziecku ręce i nogi, na pewno zostałyby aresztowany przez policję. Ale gdy robi coś znacznie gorszego, pozwalając np. nastoletniej córce na wycięcie zdrowych piersi, jest za to chwalony!

Ta perspektywa faktycznie daje do myślenia, ale obawiam się, że nawet taki argument raczej nie przekona sympatyka ruchu transpłciowego. Zbyt dobrze zakorzenione jest tam przekonanie, że „korekta płci” przynosi świetne rezultaty.

Musimy zrozumieć jedną rzecz. W całej długiej historii ludzkości ani jedna osoba nie zmieniła płci! To po prostu niemożliwe. W 1979 r. aktywista homoseksualny dr Charles Ihlenfeld, który był właścicielem kliniki w Nowym Jorku, po sześciu latach pracy z 500 osobami transpłciowymi powiedział, że te procedury wiążą się z samymi problemami i powodują zbyt wiele samobójstw. Ludzie po operacjach „korekty płci” 19 razy częściej popełniają samobójstwo niż reszta populacji! A przecież te operacje mają przynosić ukojenie...

Ihlenfeld stwierdził, że „zmiana płci” nie jest długoterminowym rozwiązaniem dla osób zmagających się z postrzeganiem swojej płciowości. Jeśli przejrzeć dane naukowe na ten temat, to trudno wyciągnąć inny wniosek. W 2004 r. w słynnym lewicowym „Guardianie” ukazał się tekst, który jednoznacznie wskazywał, że procedury „zmiany płci” nie są skuteczne. Gazeta przeanalizowała różne badania naukowe dotyczące tej kwestii i stwierdziła, że przekonywanie osób transpłciowych, że operacje zmieniają ich życie na lepsze, nie ma podstaw w nauce. Ale to były „stare” czasy, kiedy jeszcze można było w mainstreamie dosyć swobodnie dyskutować na temat „zmiany płci”. Dziś to już nie jest do pomyślenia na Zachodzie. Dziś w dobrym tonie jest przytakiwanie pomysłom, które oznaczają w gruncie rzeczy niszczenie dzieci. Dziś lekarz, który stwierdziłby, że „zmiana płci” przynosi więcej zagrożeń niż korzyści, stałby się ofiarą kampanii nienawiści rozkręconą przez własne środowisko.

Ale jednak zdarzają się pewne wyłomy. W zeszłym roku głośno było w Ameryce o materiale wyemitowanym w magazynie reporterskim „60 minut” na temat nastolatków, którzy dokonali „detranzycji”. Reportaż spotkał się oczywiście z bardzo ostrym atakiem ze strony aktywistów LGBT, którzy twierdzili, że to jednostkowe historie i nie można na tej podstawie wyciągać daleko idących wniosków.

To coraz większy problem. Widzę to po ludziach, którzy się z mną kontaktują. Są coraz młodszy! Moim zdaniem za 10–15 lat będziemy mieli całą lawinę przypadków młodych, zniszczonych ludzi, którzy padli ofiarą translobby. Patrząc na falę dzieci i młodzieży, które poddawane są w tych klinikach „terapiom” hormonalnym i operacjom, możemy się spodziewać prawdziwej tragedii na niewyobrażalną skalę.

Gdy mówimy zagubionemu dziecku, że jest transpłciowe, to je dehumanizujemy. Mówimy, że tak naprawdę jest nieokreślone. To traumatyczne przeżycie, które sprawia, że niszczy jego poczucie wartości. Dziecko nie wie, kim jest, a my utwierdzamy je w przekonaniu, że to normalne. Jeżeli jeszcze dochodzą do tego ingerencje hormonalne, blokowanie dojrzewania lub – nie daj Boże – operacje, to odpowiadamy już za kompletne zniszczenie dziecka. Kliniki, które działają w USA, a także w Europie Zachodniej, to miejsca, w których dokonuje się rzeczy horrenalnych. Zgodnie z prawem pozbawia się tam dzieci przyszłości, uniemożliwia im założenie normalnej rodziny i posiadanie dzieci.

Ale to zjawisko nie ogranicza się przecież tylko do USA. Całe pokolenie dzieci będzie dosłownie przeorane przez opętanych ideologów, którzy chcą zniszczyć tradycyjną wizję społeczeństwa, podział na mężczyzn i kobiety, rodzinę, a w konsekwencji także Kościół. Te siły starają się zbudować pewną modę na transpłciowość, która wśród młodzieży ma pewien potencjał na „kontrkulturę”. Widzimy skalę tego zagrożenia po sondażach, w których z roku na rok coraz większy odsetek młodzieży klasyfikuje się w „społeczności trans”. Przy czym nie chodzi tu tylko o ideologię. To też ogromny biznes. Każde amerykańskie dziecko, które zostanie zidentyfikowane przez „specjalistów” jako transpłciowe, to prawdziwa żyła złota dla branży farmaceutycznej. Taka kompleksowa „terapia” to wydatek rządu 400 tys. dol.! To wielomiliardowy biznes, który nie toleruje

ludzi takich jak ja. Ludzi, którzy mówią: „Nie wierzcie im, bo czeka was tragedia”. Dlaczego z takim oporem spotykają się głosy sugerujące psychoterapię zamiast operacji? Ponieważ każdy prawdziwie wyleczony człowiek to mniejszy zysk dla „transspecjalistów” i klinik, które okaleczają ludzi za bająnskie sumy!

Czym jest „afirmatywna opieka zdrowotna”, o której tak głośno w USA w ostatnich latach?

To szczyt patologii. Oznacza automatyczne potwierdzanie diagnozy, z którą do „specjalisty” przychodzi osoba z zaburzeniami identyfikacji płciowej. Szczególnie makabrycznie wygląda to w kontekście dzieci. „Afirmatywna opieka zdrowotna” oznacza po prostu, że lekarze muszą „podążać za” dzieckiem. Jeżeli chłopiec mówi, że czuje się dziewczynką, to trzeba mu umożliwić „eksplorację” tego obszaru i wspierać go w tej „podróży”. W niektórych stanach wręcz nielegalne jest kwestionowanie odczuwanej przez zagubione dziecko tożsamości płciowej!

Postawmy sprawę wprost – co pan radzi ludziom, którzy czują, że ich ciało nie jest „tym właściwym”?

Dobrego terapeutę, żeby pozbyć się na trwałe problemu tkwiącego w ich głowach. Nigdy nie poznałem kogoś, kto by stwierdził, że problemem było urodzenie się nie w tej skórze, co trzeba. Zaburzenia identyfikacji płciowej to bardzo skomplikowane zagadnienie. Wpływać mogą na to takie czynniki jak molestowanie seksualne w dzieciństwie, toksyczne relacje w rodzinie, wśród rówieśników lub też stany chorobowe, jak np. schizofrenia, a także depresja. Musimy odnosić się do takich osób bardzo delikatnie, z ogromnym szacunkiem, ponieważ przeżywają one straszne męczarnie. Nie można ich wyśmiewać, wytykać palcami, śmiać się z ich wyglądu. Należy im za wszelką cenę pomóc pozbyć się tych problemów – trzeba ich jednak kierować w dobrą stronę, do prawdziwych specjalistów, a nie do klinik oferujących „korektę płci” za gigantyczne pieniądze.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Walt Heyer (ur. 1940) jest byłym transseksualistą, który pomaga ludziom z zaburzeniami tożsamości płciowej. Wśród jego najgłośniejszych książek jest m.in. „Trans Life Survivors” – historie ludzi, którzy za sprawą ideologii LGBT niepotrzebnie okaleczyli swoje ciała.



FOT. ADOBE STOCK

Do legendy przeszły sportsmanki z NRD, które w czasach podziału Europy żelazną kurtyną wyraźnie odróżniały się masą i siłą od swych konkurentek z innych części świata. Wówczas kobietom i mężczyznom uprawiającym zawodowo sport w NRD podawano (w większości bez ich wiedzy i zgody) hormony, sterydy i inne środki dopingujące. Proceder został wykryty dopiero po upadku muru berlińskiego, a u NRD-owskich sportowców pojawiały się takie skutki uboczne jak zatrzymanie rozwoju płciowego, bezpłodność, impotencja, marskość wątroby, nowotwory czy upośledzenie działania serca.

Dziś na bezpłodność, impotencję oraz zatrzymanie rozwoju płciowego niektóre „sportsmenki” skazują się same. Tyle że zanim były „sportsmankami”, były... sportowcami. Mężczyznami. A ich nienaturalne metody uzyskiwania przewagi fizycznej nad prawdziwymi kobietami są dziś legalizowane przez kolejne państwa i organizacje sportowe. Wynikająca z coraz modniejszej „zmiany płci” przewaga nowych „kobiet” została już jednak oprotestowana, i to zarówno w świecie sportu, jak i wśród samych działaczy LGBT.

W „NIE SWOIM CIELE”, ZA TO NA PODIUM

Historia jest zwykle podobna. Sportowiec radzi sobie jako tako w rywalizacji z mężczyznami i – zwykle popadając w jakiś rodzaj załamania nerwowego czy depresji – odkrywa, że „tak naprawdę to jest kobietą”. Mówi wszystkim dookoła, że czuł się nią od zawsze i z tego wynikają jego problemy. Z pewnością to mogło się zdarzyć, zaburzenia są bowiem znane psychiatrii od dziesiątek lat, ale lawina takich „odkryć” prowadzących do zmiany płci wśród przeciętnych męskich sportowców, szczególnie w USA, każe zadawać pytanie, czy rzeczywiście mamy do czynienia wyłącznie z ludzkim pogubieniem czy też z ambitnym cwaniactwem. Zwykle bowiem – jak nietrudno się domyślić – sportowcy, którzy stali się sportsmankami, radzą sobie w rywalizacji z kobietami o niebo lepiej niż z mężczyznami, zdobywają laury, a nawet kwalifikują się na igrzyska olimpijskie, na których pokonują kolejne kobiety.

W 2022 r. światem sportu wstrząsnęła wiadomość o triumfie osoby przedstawiającej się jako Lia Thomas – dziś uznawana jest ona za „pierwszą w historii USA osobę transpłciową, która zdobyła mistrzostwo USA na zawodach uniwersyteckich”.

Sport w imię ideologii?



Krystian Kratiuk

Jeszcze do niedawna żart o tym, że „chłop przebrał się za babę”, naprawdę śmieszył ludzi. A dziś już nawet wyrażenie „kobieta z brodą” straciło swoje dawne znaczenie. O ile kiedyś kobiety z brodą oglądało się w cyrkach, o tyle dziś można je oglądać na coraz większej liczbie stadionów i hal sportowych. Ale przecież świat sportu to dziś coś znacznie potężniejszego niż niegdysiejsze cyrki. Stanowi bowiem kolejne narzędzie do zmieniania świata

„Zawodniczka” triumfowała w wyścigu na 500 m stylem dowolnym. Ale przez pierwsze trzy sezony, jeszcze jako William Thomas, dzisiejszy Lia pływał w męskiej drużynie Uniwersytetu Pensylwanii. Wiosną 2019 r., rok po coming outcie, rozpoczął terapię hormonalną i, według prawa, stał się kobietą. Od tego czasu bije rekordy swojej uczelni – w kategorii kobiet rzecz jasna. To najgłośniejszy w ostatnich miesiącach przypadek mężczyzny, który „zmieniając płęć”, nagle zaczął odnosić sukcesy sportowe w konkurencjach kobiecych. Jest ich jednak znacznie więcej. Na ostatnich igrzyskach w Tokio występowała Laurel Hubbard – wcześniej mężczyzna. Ów nowozelandzki sztangista pobijał nawet rekordy wśród męskich juniorów, ale wśród seniorów nie szło mu już tak dobrze. Gdy „zmienił płęć”, zaczął zdobywać medale, pokonując kobiety w najcięższej wadze, uzyskując także kwalifikację olimpijską.

Takich przykładów można by tu podać jeszcze dziesiątki, ale myślę, że to wystarczy, by unaocznili absurd, z którym coraz częściej muszą borykać się władze organizacji sportowych. Jest bowiem na nich wywierana ogromna presja dotycząca tego, by nie dyskryminować „transpłciowych kobiet”. Robią to zarówno opanowane przez ideologię LGBT wielkie koncerny, jak i politycy. Pierwszą decyzją podpisaną przez Joe Bidena po objęciu urzędu prezydenta USA był zakaz dyskryminacji mniejszości, w tym transseksualnych sportowców. To właśnie dzięki takim przepisom studentki od lat uczciwie pracujące na medal pozbawione są dziś szans na triumfy i spychane z podium przez mężczyzn czujących się kobietami, którzy przeszli odpowiednie terapie, operacje oraz dokonali niezbędnych formalności. Niestosujący się do prezydenckiego rozporządzenia pracodawcy, rektorzy szkół czy szefowie organizacji sportowych narazają się na odebranie im państwowego finansowania. Wszystko w imię walki z nietolerancją dla coraz to nowych zjawisk w życiu społecznym.

CO NA TO NAUKA?

W Polsce nadal mało kogo trzeba przekonywać, że mężczyźni różnią się jednak od kobiet i że zawody sportowe odbywają się z podziałem na płcie, dlatego że – z naturalnych względów – kobiety nie miałyby z mężczyznami szans. Ale jeśli znajdzie się ktoś, kto zechce dla zasady podważyć oczywistą oczywistość, zreferujmy też wyniki badań. Otóż mężczyźni „zmieniający płęć” przechodzą także terapię hormonalną

i muszą spełnić pewne warunki, jeśli chodzi o wyniki badań (chodzi m.in. o poziom testosteronu czy estrogenu), zanim zostaną dopuszczeni do zawodów kobiecych. Każda organizacja sportowa ma w tej sprawie własne przepisy i limity. Propagatorzy idei dopuszczania takich „byłych mężczyzn” do zawodów kobiecych argumentują, że operacja zmiany płci oraz obniżenie poziomu testosteronu powodują spadek masy mięśniowej i gęstości kości, a więc wyrównują szanse, gdyż transseksualistki przestają mieć przewagę nad rywalkami.

Problemem jest jednak biologia. Otóż naukowcy wciąż uparcie twierdzą, że roczna kuracja hormonalna nie likwiduje przewag, które zostały wypracowane w czasie okresu dojrzewania, gdy „dzisiejsza kobieta” była jeszcze chłopcem czy mężczyzną. Aby móc zauważyć istotny spadek gęstości kości, potrzeba przynajmniej 15 lat! A tyle przecież zwykle trwają całe seniorskie kariery sportowców.

W badaniu przeprowadzonym w 2020 r. wśród członków armii Stanów Zjednoczonych stwierdzono, że „po roku podawania kobiecych hormonów transpłciowe kobiety nadal miały lepsze sportowe osiągnięcia niż kobiety nietranspłciowe. Po dwóch latach różnica była już mniejsza, ale kobiety transpłciowe nadal biegały o 12 proc. szybciej”.

W innym badaniu przeprowadzonym przez Tommyego Lundberga ze szwedzkiego Division of Clinical Physiology stwierdzono, że kobiety transpłciowe, które poddały się feminizującej terapii hormonalnej, zachowały po upływie roku swoją ogólną siłę.

Tak więc bez terapii hormonalnej kobiety transpłciowe mają przewagę w sporcie nad nietranspłciowymi, a także w przypadku hormonoterapii obniżającej poziom testosteronu i podwyższającej poziom testosteronu czy estrogenu są silniejsze. A dodajmy, że przecież nie we wszystkich krajach decydujący się na „zmianę płci” mężczyźni, aby zostać uznanym za kobietę, musi przechodzić terapię hormonalną! W wielu miejscach świata wystarczy bowiem deklaracja woli, poprzedzona np. zaświadczeniem o konsultacji z lekarzem.

FEMINISTKI PRZECIWKO „Kobietom”

Warto jednak zauważyć, że owo oszustwo dostrzegają nie tylko konserwatyści i oszukiwane po raz kolejny przez mężczyzn kobiety – sportsmenki. Do protestów przeciwko absurdalnemu włączaniu

mężczyzn po „zmianie płci” do zawodów kobiecych protestuje także wiele organizacji feministycznych, które podkreślają absurdalność tej sytuacji. Choć od feministek dzieli mnie niemal wszystko, to cieszę się, że zauważyły, iż w całej tej sytuacji kobiety uprawiające zawodowo sport są zwyczajnie oszukiwane – tak oto najnowsza fala rewolucji seksualnej, rzekomo prowadzonej w imię „praw kobiet”, jak w każdej rewolucji zjada własne dzieci. Tym razem „zjada” normalne kobiety, które mogą starać się być najlepsze w świecie w danej dyscyplinie sportu, ale nie zdobędą złotego medalu, bo na najwyższym stopniu podium stanie mężczyzna. Przepraszam, transkobieta.

Ale oszustwo dostrzegają także aktywiści LGBTI. Martina Navrátilová, legenda tenisa, a także lesbijka od lat walcząca o prawa kobiet i mniejszości seksualnych, kilka lat temu została „transfobką” i wrogiem numer jeden środowisk walczących o prawa osób transseksualnych. Przez sprzeciw wobec rosnącej dominacji „transseksualistek” w kobiecym sporcie.

Navrátilová zabrała głos po tym, jak w 2019 r. rozgłos zdobyły halowe mistrzostwa szkół średnich w lekkoatletyce w stanie Connecticut. Przedstawiające się jako kobiety Terry Miller i Andrayi Yearwood zdominowały tam sprint na 55 m. Obie były wcześniej mężczyznami.

„Nie mam problemu, żeby zwracać się do transseksualnych kobiet w jakiejkolwiek formie, w której sobie życzą, ale nie byłabym szczęśliwa, gdybym musiała z nimi rywalizować. To nie byłoby fair – pisała wówczas była tenisistka. – Powód jest bardzo prosty: mężczyzna może zdecydować się zostać kobietą; brać hormony, jeśli tego życzy sobie organizacja sportowa, która ma pieczę nad zawodami, w których zamierza wystąpić; wygrać wszystko, co ma w zasięgu ręki, i może nawet zarobić małą fortunę, a potem zmienić swoją decyzję i wrócić do robienia dzieci, jeśli tego zapragnie”.

Navrátilová – powtórzę raz jeszcze, że od lat aktywnie pracująca na rzecz mniejszości seksualnych – dodała także: „Ubolewam również nad rosnącą tendencją wśród transseksualnych aktywistów potępiania każdego, kto się im sprzeciwia, i określania go za każdym razem jako transfoba. To jest jeszcze jedna forma tyranii”.

I trudno się z nią nie zgodzić.



Papież Franciszek jest powszechnie kojarzony ze wsparciem dla środowisk LGBT. O samej ideologii gender Ojciec Święty wypowiadał się jednak wielokrotnie w wyjątkowo ostrym tonie. Liberałowie na całym świecie nie kryli rozczarowania, gdy w 2015 r. opublikowana została książka „Papież Franciszek: Ta ekonomia zabija”. W wywiadzie udzielonym Andrei Torniellemu i Giacomo Galeazzemu Franciszek określił teorię gender mówiącą o „płynnej” płciowości jako niezgodną z Bożym porządkiem. W jednym szeregu wymienił manipulacje genetyczne, broń nuklearną i właśnie ideologię genderyzmu jako nowy rodzaj grzechu przeciwko Bogu Stwórcy. Mówił też w tym kontekście o nowych „Herodach”, którzy działają na rzecz śmierci i przeciwko Bogu. Niezadowolenie progresistów było jeszcze większe, gdy kilka tygodni po publikacji książki papież spotkał się z Kimberly Davis, amerykańską działaczką przeciwko homoseksualnym „małżeństwom”, wręczając jej różaniec i zachęcając do dalszej wytrwałości.

Te słowa i gesty nie były przypadkowe. W wydanej pięć lat później książce na temat postaci i nauczania św. Jana Pawła II Franciszek ponownie skrytykował genderyzm jako „jeden z głównych

Kościół uczy jasno: „zmiana płci” nie jest możliwa



Paweł Chmielewski

Ideologia transgenderyzmu jest najnowszym przejawem rewolucji, która wstrząsa cywilizacją łacińską od z górą 200 lat. Kościół katolicki oferuje skonfundowanemu światu jasne zasady rozeznawania, tłumacząc, dlaczego teoria „płynnej płciowości” jest sprzeczna nie tylko z prawem moralnym, lecz także z naturalnym rozumem



FOT. ANDRZEJ STOKIŁA / KREDEK

przejawów zła” we współczesnym świecie, przypominając, że oznacza on próbę „zniszczenia zamysłu stwórczego Boga u samych jego korzeni” i jest „atakami na różnorodność i kreatywność Boga”. Od chwili rozpoczęcia pontyfikatu kilkakrotnie krytykował politykę liberalnych państw zachodnich, które uzależniają przekazywanie pomocy charytatywnej ubogim krajom Afryki i Azji od wprowadzania „tęczowych” praw; nazwał to „ideologiczną kolonizacją”. Można by zatem stwierdzić, że Franciszek chętnie podpisałby się pod głośnymi słowami Benedykta XVI, które wypowiedział już jako emeryt: w jednym z wywiadów z 2020 r. Józef Ratzinger powiązał ideologię stojącą za aborcją, in vitro czy „małżeństwami” jedнопłciowymi z duchową siłą Antychrysta. Wsłuchując się w takie głosy, zarówno katolicy, jak i niewierzący mogą mieć wrażenie klarownej postawy Kościoła wobec genderyzmu.

RYSA W TWARDEJ LINII

Z drugiej strony wiele słów i gestów Franciszka wskazuje, że patrzy on na problematykę transseksualizmu i LGBT mniej jednoznacznie. W 2020 r. polecił swojemu jałmużnikowi, kard. Konradowi Krajewskiemu, przekazać wsparcie ma-

terialne transseksualnym prostytutkom spod Rzymu, które z powodu pandemii COVID-19 nie miały klientów i były pozbawione środków do życia. Osobiście spotkał się też z tymi osobami; po raz ostatni raz w sierpniu tego roku.

Również w 2020 r. napisał list pochwalny do argentyńskiej zakonnicy Móniki Astorgi Cremony, która prowadzi dom opieki dla „kobiet transgender”. Zapewnił ją, że Bóg wynagrodzi jej podjętą działalność. Od lat Franciszek wspiera działalność o. Jamesa Martina SJ, który buduje w Stanach Zjednoczonych duszpasterstwo środowisk LGBT, obficie wykorzystując przy tym tęczową symbolikę i uczestnicząc w paradach „gejowskiej dumy”. W filmie „Francesco” w reżyserii Evgeny Afineevsky’ego Franciszek wypowiedział się też pozytywnie o legalnych związkach jedнопłciowych, wskazując na dostrzeganą przez siebie konieczność ułatwiania homoseksualistom życia codziennego.

Dwutorowość papieskiego podejścia do problematyki LGBT została dobrze ujęta w jego wypowiedzi z 2016 r. Wracając samolotem z Azerbejdżanu, Franciszek powiedział: „Jedna rzecz to mieć takie skłonności, a nawet przejść [operację] zmiany płci. Inna sprawa to nauczanie tego w szkołach w celu zmie-

niania mentalności. Właśnie to nazywam kolonizacją ideologiczną”. Franciszek potępia zatem samą doktrynę genderyzmu jako wrogą porządkowi stworzenia, z drugiej strony starając się wyciągać rękę do tych, którzy wpadli w sidła tej ideologii. Problem w tym, że ta w teorii szlachetna postawa prowokuje zamęt: jeśli można jeszcze uzasadnić takie podejście wobec transseksualnych prostytutek jako osób uwięzionych w pewnej spirali zła, to co powiedzieć o posłudze o. Martina promującego „otwartość” na LGBT wizerunkiem Matki Bożej Częstochowskiej w tęczowej aureoli albo wielobarwnym różańcem?

EUROPEJSKI PROGRESIZM

Być może nie zwracalibyśmy tyle uwagi na te wątpliwe gesty Franciszka, gdyby nie działalność wielu progresywnych biskupów. Na „drodze synodalnej” którą Kościół katolicki w Niemczech rozpoczął w 2019 r., zaproponowano pełną akceptację ideologii gender. Tamtejsi biskupi nie chcą się zmagać z niezgodnością między katolicką doktryną i duszpasterstwem a stanowiskiem państwa, które od roku 2018 uznaje istnienie tzw. trzeciej płci (niem. divers). We wrześniu 2022 r. na obradach Zgromadzenia Synodalnego, kolektywnego ciała decyzyjnego biskupów i świeckich, głosowaniu został poddany tekst zawierający propozycję całkowitego pogodzenia nauki katolickiej z teorią transgenderyzmu. Dokument został wprawdzie odrzucony (zabrakło niewielkiej większości), ale ponad połowa spośród biskupów zagłosowała na „tak”.

Znaczna część niemieckich hierarchów uważa, że „różnorodność płciowa” jest „chciana przez Boga”, a osoby transseksualne nie powinny próbować leczenia czy terapii – miałyby po prostu zawierać pożądane przez siebie związki, jednocześnie z całą swobodą pełniąc w Kościele wszystkie funkcje i przystępując do sakramentów.

Tego rodzaju tendencje są widoczne również u biskupów w Austrii, Szwajcarii, krajach Beneluksu i we Włoszech oraz w krajach anglosaskich. Co więcej, od pewnego czasu urzędy Kurii Rzymskiej chętnie podejmują współpracę z różnymi agendami ONZ, które za oczywistość uznają „prawo” do woluntarystycznego określania własnej płciowości. Nie dziwi zatem, że na każdą papieską wypowiedź czy gest mogący choćby tylko

■ sugerować afirmację transgenderyzmu społeczność katolicka reaguje alergicznie.

NAUCZANIE KOŚCIOŁA W POLSCE

Stanowisko katolickiego Urzędu Nauczycielskiego wobec fenomenu transgenderyzmu i tzw. zmiany płci jest tymczasem jednoznacznie krytyczne. Kościół uznaje wprawdzie, że są sytuacje związane z wrodzonymi zaburzeniami (zwłaszcza obojnactwo), które wymagają fachowej interwencji medycznej (wobec osób dotkniętych takim problemem poleca się stosowanie indywidualnego podejścia i rozwiązywanie problemów związanych z sytuacją kanoniczną w porozumieniu ze Stolicą Apostolską). W pozostałych wskazże przypadkach, gdy o tego rodzaju chorobie nie ma mowy, nauka katolicka całkowicie odrzuca „interwencje” chirurgiczne i inne działania podejmowane w imię teorii o „płynnej” płciowości.

Polakom przypomniawszy o tym w 2020 r. Konferencja Episkopatu Polski, publikując szeroko komentowane (i krytykowane przez lewicę) „Stanowisko w kwestii LGBT+”. Biskupi napisali: „Kierując się obiektywnym kryterium płci człowieka, czyli jego genetyką (kobieta XX, mężczyzna XY), Kościół stoi na stanowisku, że hormonalne i chirurgiczne ingerencje w sferę płciową nie powodują jej faktycznej zmiany. Takie praktyki są traktowane wyłącznie jako akt okaleczenia osoby. Podobnie Kościół ocenia cywilnoprawną procedurę ograniczoną do poświadczenia w dokumentach metrykalnych »zmiany płci« lub jej pominięcia”.

Polscy pasterze wskazali, w jaki sposób przyłgnięcie do ideologii transseksualnej wpływa na zdolność do przyjmowania sakramentów czy pełnienia kościelnych funkcji. Episkopat wyjaśnił np., że osoba, która przeszła tzw. zmianę płci, może zostać ochrzczona – ale jedynie wówczas, gdy wyrazi żal za swoje czyny i zaakceptuje katolickie spojrzenie na tę „zmianę”. Otrzymując sakrament chrztu, winna też przyjąć imię zgodne z jej płcią biologiczną – i takie właśnie imię należy odnotować w księdze ochrzczonych.

Episkopat wyjaśnił, że w księgach parafialnych nie można wpisywać płci danej osoby niezgodnej z jej płcią biologiczną, nawet jeżeli poddała się zabiegom „tranzycji” już po chrzcie. Niczego nie zmieniają tu nawet dokumenty państwowe, jeżeli byłyby takowe. Tego rodzaju zaszczość należy po prostu odnotować jako uwagi.

Osoby transseksualne nie mogą również zostawać rodzicami chrzestnymi. Episkopat, odwołując się do jednego z dokumentów Kongregacji Nauki Wiary, wyjaśnił przyczynę takiego stanowiska: „Osoba transseksualna prezentuje w sposób publiczny postawę przeciwną do moralności chrześcijańskiej”. Nie ma również możliwości zawarcia przez osobę transseksualną sakramentu małżeństwa. „W punkcie wyjścia związek małżeński winien mieć też dostateczne podstawy do stworzenia trwałej i harmonijnej więzi obejmującej sferę ducha i ciała. Stworzenie takiej wspólnoty zakłada zdolność panowania nad własną płciowością” – wyjaśnili polscy biskupi, przypominając, że zgodnie z Katechizmem i prawem kanonicznym małżeństwo jest związkiem mężczyzny i kobiety; nie może zostać zbudowane przez osoby, z których choćby jedna wykazuje jakiegось rodzaju poważne zaburzenia w dziedzinie płciowości.

WATYKAN WYJAŚNIA BŁĘDY

„Stanowisko” Konferencji Episkopatu Polski zostało oparte na dokumentach Kurii Rzymskiej. Na temat problematyki LGBT kuria opublikowała ich na przestrzeni lat dość dużo, precyzując np. kwestię przyjmowania do seminariów kandydatów z zaburzeniami homo- czy transseksualnymi (w obu przypadkach stanowisko jest zasadniczo negatywne, co odzwierciedla również dokument polskich biskupów).

Najnowszym dokumentem kurialnym dotyczącym omawianych zagadnień jest pismo Kongregacji ds. Edukacji Katolickiej z 2019 r. pt. „Stworzył ich jako mężczyznę i kobietę. Z myślą o drodze dialogu na temat kwestii gender w edukacji”. Pismo nie zajmuje się wprost problemem transseksualizmu, potępia jednak jednoznacznie błędy poznawcze i filozoficzne, które stoją za ideologią gender. Kongregacja wskazała, że w połowie XX w. zaczęły się pojawiać badania, które prezentowały tożsamość płciową jako konstrukt społeczny. Wyciągano z tego wnioski, że płeć nie jest konstytutywna dla ludzkiej świadomości, a w relacjach międzyludzkich chodzi jakoby wyłącznie o uczucie – bez względu na różnicę między płciami oraz możliwość budowania rodziny w oparciu o prokreację. Jak wskazała Kongregacja, narodziła się tym samym czysto umowna i woluntarystyczna wizja rodziny. Genderyści uznali, że można radykalnie oddzielić płeć biologiczną od płci społeczno-kulturowej;

te drugą można by dowolnie wybierać i kształtować. Kongregacja zasugerowała, że ideologia transgenderyzmu ma w istocie gnostyckie pochodzenie, zakłada bowiem skrajny dualizm antropologiczny: oddzielenie „ciała sprowadzonego do biernej materii od woli, która staje się absolutna, manipulując ciałem według własnego uznania”.

Rzymski urząd podkreślił, że takie „połączenie materializmu z woluntaryzmem daje początek relatywizmowi, gdzie wszystko jest równie ważne i nieodróżniewane, bez ładu i bez celu”. Kuria skrytykowała bazujące na tych założeniach rewolucje: kulturową, ideologiczną i wreszcie prawną. Urząd wyjaśnił wreszcie, że – wbrew genderyzmowi – człowiek jest zobowiązany do poszanowania własnej natury ze względu zarówno na ludzką godność, jak i na prawo moralne.

POTRZEBA GŁOSU KOŚCIOŁA

Nawet jeżeli w podejściu Kościoła katolickiego do problematyki transseksualizmu występują w ostatnich latach pewne nieścisłości, to mają one charakter, można rzec, raczej polityczny; stanowisko doktrynalne i wynikające zeń w sposób konieczny stanowisko duszpasterskie są wyraźnie określone zarówno w cytowanych wyżej dokumentach, jak i w wielu wcześniejszych pismach Kongregacji Nauki Wiary. Na tej bazie Kościół katolicki w Polsce i na świecie może budować krytyczne podejście do ideologii gender. To bardzo potrzebne, bo z roku na rok wzrasta liczba nastolatków podejmujących radykalne decyzje względem swojego ciała, nierzadko o nieodwracalnym charakterze. Problem dotyczy zwłaszcza dziewcząt, które coraz częściej poddają się amputacji piersi, pragnąc stać się bardziej „męskie”. W Stanach Zjednoczonych w niektórych placówkach przeprowadzających takie okaleczenia liczba „zabiegów” wzrosła na przestrzeni kilku lat nawet dziesięciokrotnie. Polskie prawodawstwo nie pozwala aktualnie na tak horrendalne rozpowszechnienie patologii genderyzmu, ale w związku z rosnącym naciskiem Unii Europejskiej sytuacja jest daleka od stabilności. Stąd konieczne jest zabieranie przez Kościół głosu mocnego i dostosowanego do współczesnego odbiorcy, który będzie ostoją trzeźwości w coraz bardziej chaotycznej przestrzeni kulturowej i społecznej.

Kliniki dla nieletnich zmagających się z zaburzeniami płci pękają w szwach. Z danych opublikowanych przez psycholog Agnieszkę Marianowicz-Szczygieł w „Kwartalniku Naukowym Fides et Ratio” wynika, że ostatnie osiem lat to dramatyczny wzrost liczby dzieci zgłaszających się do takich miejsc. I tak np. w Australii wzrost wyniósł 12,65 tys. proc. (!), w Szwecji – 19,7 tys. proc., a we wciąż uznawanych za jeden z najmocniej zakorzenionych w chrześcijaństwie krajów, czyli we Włoszech – wzrost wyniósł 7,2 tys. proc. Z kolei z badań Instytutu Gallupa wynika, że obecnie co piąta osoba z tzw. generacji Z (pokolenie urodzone po 1995 r.) identyfikuje się jako osoba LGBT (najczęściej utożsamia się z literą „B”, czyli biseksualizmem). Szerzej na ten temat pisał w tekście na łamach tygodnika „Do Rzeczy” Jan Pospieszalski („Transseksualność na siłę”, nr 41/2022). Problem więc istnieje, nie jest wymysłem „prawaków” i „moherów”.

Najłatwiej byłoby uznać, że to źli „lewacy” krzywdzą dzieci (na wysokim poziomie ogólności stwierdzenie to jest oczywiście prawdziwe), ponarzekać i poprzestać na stwierdzeniu, że „kiedyś było lepiej”. Jeżeli jednak konserwatyści i osoby, którym bliskie są wartości tradycyjne, oparte na wyśmiewanym niejednokrotnie prawie naturalnym, chcą nie tylko zrozumieć, lecz także próbować odwrócić bieg zdarzeń, to muszą postarać się rozłożyć to zjawisko na czynniki pierwsze.

Na początek istotna uwaga – dotykając tematów trudnych, ale ważnych społecznie, trudno uniknąć uogólnień.

W JAKIM ŚWIECIE DORASTAJĄ?

Próbując odpowiedzieć na pytanie, skąd bierze się lawinowy wzrost liczby dzieci deklarujących się jako LGBT, ewentualnie podważających płęć biologiczną, należy zastanowić się, w jakim świecie dorastają.

Po pierwsze, funkcjonujemy w rzeczywistości, gdzie rozwód przestaje być tragedią, a staje się dogodną opcją. Coraz częściej na łamach kobiecych pism forsona jest teza, że rozstanie jest lepsze niż trwanie w związku „na siłę” – w myśl hasła: „Twoje szczęście jest najważniejsze”. Bywa to prawdą, ale w sytuacji, gdy w relacji dochodzi do przemocy, a nie gdy ktoś z małżonków po prostu się znudzi,

znajdzie kogoś nowego lub uzna, że ma ochotę podróżować, a nie zajmować się rodziną. W pierwszym kwartale tego roku do polskich sądów wpłynęło prawie 20 tys. wniosków rozwodowych. W porównaniu z tym samym okresem roku 2020 to wzrost o 3 proc. Co do tego, że rozwód to dla dziecka tragedia, przekonywać nikogo nie trzeba. Obok pozbawienia go trwałego poczucia bezpieczeństwa

mechanizm działa w przypadku dysforii płciowej oraz podważenia orientacji seksualnej. Tezę o wpływie dominującego przekazu medialnego na wzrost liczby osób z zaburzeniami potwierdzają też badania dr Lisy Littman, dotyczące zespołu nagłej dysforii płciowej. Wskazała ona, że dysforia może występować w wyniku przyswajania treści w sposób pozytywny i atrakcyjny ukazujących ideę

Zmień płeć, będziesz fajny?



Zuzanna Dąbrowska

Coraz więcej dzieci, również w Polsce, podważa nie tylko swoją orientację seksualną, lecz także płeć. Kto je do tego popycha? I dlaczego?

to także odebranie dziecku możliwości nabywania wzorców damskich i męskich w najbardziej przyjaznym dla niego środowisku, jakim powinna być rodzina. Dziecko pozbawione tych podstawowych wzorów staje się znacznie bardziej narażone na czynniki zewnętrzne chcące wykorzystać je do swoich celów.

I tutaj pojawia się powód drugi, ów „czynnik zewnętrzny”, czyli mass media. Jak twierdzi szwedzki psychiatra Sven Roman, zjawiska takie jak zaburzenia odżywiania oraz samookaleczanie mogą być wywoływane poprzez długie obcowanie z tego typu treściami w sieci. Wielce prawdopodobne zatem, że podobny

zmiany płci oraz poszukiwania swojego seksualnego „ja”. Nowe pokolenia rodzą się niemalże ze smartfonem w ręku. Pandemia i związane z nią nauczanie zdalne jeszcze silniej wepchnęły dzieci w świat wirtualny. A tam czeka – choć może uczciwiej napisać wprost „czyha” – na nie wiele ideologicznych pułapek.

Począwszy od z pozoru niegroźnego, coraz powszechniejszego, stającego się wręcz elementem dobrego tonu dopisywania na profilach w mediach społecznościowych zaimków (możesz być kim chcesz – ona/jej, on/jego, oni/im, to/tego), skończywszy na forach, na których dzieciom oferowane są hormony. Brzmi



■ jak wymysł homofobicznego prawaka? Dwa lata temu opinią publiczną wstrząsnął szokujący reportaż Waldemara Krysiaka (homoseksualisty, byłego działacza LGBT), który dokładnie opisał procedury, do których dochodzi w zamkniętych grupkach. Dorośli transseksualiści ukrywający swoją tożsamość próbują przekonać nastolatków, że ich ciała są „więzieniem”. Wolnością jest zmiana płci, którą – do czego zachęcają – można przeprowadzić poprzez przyjmowanie hormonów. Tutaj robi się jeszcze mroczniej, bo – jak wynika z materiału Krysiaka – padają propozycje przekazania

tabletek w zamian za przesłanie przez dziecko nagich zdjęć. Pomijając kwestię tego, jakie skutki dla zdrowia fizycznego i psychicznego rozwijającego się dopiero człowieka może mieć niekontrolowane przyjmowanie hormonów (w tym przypadku de facto tabletek nieznanego pochodzenia).

W ostatnim czasie coraz większe poruszenie w społeczności TikToka, najpopularniejszej platformy wśród dzieci i nastolatków, wywołuje postać niejakiej Mol, publikującej na koncie Fuzzzz99. Dwudziestosześcioletnia transkobieta uznająca się za mężczyznę,

będąca w związku z kobietą, w budzący podejrzenia, infantylny sposób komunikuje się z dziećmi. W jednym z popularnych nagrań stwierdziła, że „nikt nie chce być heteroseksualny”. Do swoich obserwatorów zwraca się per „fuzzballs” („purchawki”, choć to tłumaczenie mocno niedoskonałe). Oczywiście – wszystko pod parasolem „edukacji” i „samoświadomości”. Uwagę na niestosowność zachowania Mol zwraca coraz więcej dorosłych. Niektórzy wprost wskazują, że dorosła osoba próbuje nawiązać kontakt z dziećmi w niewiadomym celu. I o ile dorosły jest w stanie wychwytać



FOT. ANDRZEJ STYCKI

dwuznaczność tego typu materiałów, o tyle zagubione dziecko może odnieść wrażenie, że konto Mol to przestrzeń przyjazna, ciepła i akceptująca. Szczególnie jeśli tego wszystkiego nie dostaje w domu rodzinnym.

IDOLE NASTAWIENI NA ZYSK

Coraz chętniej po kwestie płci i orientacji sięgają gwiazdy show-biznesu, będące dla nastolatków idolami. I o ile w świecie high fashion odsetek homoseksualistów zawsze był wyższy niż w „przeciętnej populacji”, o tyle nie sposób nie odnieść wrażenia, że sięganie po narzędzie, którym

jest bycie LGBT, bywa często obliczone po prostu na zysk. Przede wszystkim dlatego, że wielkie korporacje jawnie opowiadają się po stronie tego środowiska. Jeśli więc celebryta chce liczyć na lukratywny kontrakt, to nie tylko nie może krytykować tej grupy, lecz także dobrze by było, aby był „osobą sojuszniczą”.

Publiczne wyznanie gwiazdy, że od dziś utożsamia się z płcią przeciwną, może być też próbą reanimowania podupadającej kariery. Jednym ze złośliwie komentowanych przez internautów przypadków jest amerykańska wokalistka, dziecięca gwiazda Disneya Demi Lovato.

W maju 2021 r. 29-letnia wówczas Demi ogłosiła, że jest osobą „niebinarną” i używa zaimków neutralnych płciowo. Jednak już nieco rok później uznała, że „czuje się coraz bardziej kobieco”, więc ma zamiar używać jednocześnie zaimków żeńskich. A dlaczego internauci wyzłośliwiali się na piosenkarce? Bo, jak zwracali uwagę, niebinarność zadeklarowała w czasie, gdy mocno przytyła; kiedy zrzuciła kilogramy i powróciła do podkreślających zgrabną figurę kobiecych ubrań, ogłosiła, że jednak zaimki ona/jej też są w porządku.

Coraz częściej po kwestie płci i orientacji sięgają gwiazdy show-biznesu. Dla niektórych to szansa na reaktywowanie podupadającej kariery

Dzieci są osaczane przez LGBT także niestety za przyzwoleniem rodziców. Na razie w Polsce jest to rzecz nie do pomyślenia, jednak w USA już się dzieje – chodzi o „występy” drag queen. Może to być czytanie książek, choć przybiera też skrajne formy zabarwionego erotycznie show, podczas którego kilkulatki wtykają wulgarnym, dorosłym mężczyznom pieniądze za fragmenty ubrań. I nie, to się nie dzieje w nocy poza wiedzą rodziców. Na takie właśnie „spotkania”, odbywające się w środku dnia, np. w kawiarni, matki dobrowolnie zabierają swoje dzieci. Jak wytłumaczyć tak skrajną nieodpowiedzialność? Chyba najprościej faktem, że kobiety te same zostały wychowane w świecie zdominowanym przez niebezpieczną ideologię. To jest dla nich normalność...

Czy można zatem stwierdzić, że mamy „modę na bycie LGBT”, która wpływa zarówno z rozpadu rodziny, jak i przekazu medialnego? Że to kolejna nowa subkultura w XXI-wiecznym wydaniu? W pewnym sensie na pewno. Jednak o ile subkultury z przeszłości, takie jak emo, punk czy metal, dotyczyły raczej wyglądu zewnętrznego, stylu ubierania i muzyki, o tyle LGBT atakuje wewnątrz. I to do głębi. W łagodniejszej formie podważa tożsamość dziecka jako człowieka; w bardziej skrajnej prowadzi do np. amputacji biustu i przyjmowania hormonów. Jeśli więc uznamy, że jest to moda, to musimy też uznać, że najgroźniejsza z dotychczasowych.



FOT. ADDBESTOCK/IZ KREDEK

Na tęczęwym celowniku



Piotr Włoczyk

Historia Core Issues Trust pokazuje, jak trudno jest dziś na Zachodzie kwestionować „dogmaty” LGBT i czym może się kończyć opór stawiany przez chrześcijan

Po jednej stronie tej batalii sądowej, która rozgrywa się w Belfaście, stoi zespół świetnie opłacanych adwokatów reprezentujący Barclays – brytyjskiego giganta z sektora bankowego. Po drugiej stronie mamy prawników z Christian Legal Centre (CLC), którzy bronią działaczy Core Issues Trust (CIT) (Fundacji Rzeczy Najważniejszych). Ta ostatnia organizacja zrzesza chrześcijańskich terapeutów, którzy oferują pomoc ludziom chcącym

z własnej woli wyzbyć się skłonności homoseksualnych lub mającym problemy z identyfikacją płciową. Wynik tej bitwy prawnej przyniesie odpowiedź na pytanie: „Czy bank może odciąć daną organizację od usług finansowych z powodu krytykowania przez jej działaczy ideologii LGBT?”.

Sprawa ta rozpoczęła się dwa lata temu, gdy brytyjskie lobby LGBT przmusiło bank Barclays do wypowiedzenia CIT umowy o prowadzenie konta banko-

wego. Odpowiadał za to aktywista LGBT Mike Buonaiuto, który odkrył, że podany na stronie CIT numer konta obsługiwany jest przez Barclays, tymczasem bank ten od lat przedstawia się jako instytucja wyjątkowo przyjazna tęczowemu środowisku. „Główny sponsor Parady Równości w Londynie, Barclays, pozwala, by brytyjska organizacja oferująca terapię konwersyjną miała w nim konto. Ta podła organizacja wciąż cieszy się przywilejami fundacji. Rząd musi zacząć działać” – tym jednym tweetem Buonaiuto rozpoczął kampanię skierowaną przeciw CIT, której najważniejszym celem było zmuszenie banku do wypowiedzenia umowy o prowadzenie konta.

PRZYMUSZANIE

Na CIT wylała się fala hejtu. Pracownicy organizacji zostali zalani wiadomościami i telefonami z pogroźkami.

– Grożą nam śmiercią, piszą o gwałceniu naszych bliskich, zastraszają osoby współpracujące z nami. Środowisko, które tyle mówi o tolerancji, rozpętało wokół nas atmosferę nienawiści, w której trudno żyć – powiedział w rozmowie z „Do Rzeczy” dr Mike Davidson, psychoterapeuta, szef CIT. – To, co widzimy dziś w Wielkiej Brytanii, to neomarksistowski ekstremizm, który wprowadzany jest na salony.

Brytyjski rząd od kilku lat sygnalizuje gotowość realizacji głównego postulatu tamtejszego środowiska LGBT – zakazania tzw. terapii konwersyjnej. „W naszym kraju nie ma miejsca na tak odrażające praktyki” – powiedział w lipcu 2020 r. ówczesny premier Boris Johnson. Mimo tych obietnic brytyjskie władze wciąż jednak nie wprowadziły zakazu w życie.

– Lobbyści LGBT będą mieli z tym problem. Trudno bowiem zakazać wolnym ludziom poszukiwania pomocy u specjalistów, którzy taką pomoc mogą im okazać – mówi dr Davidson. – Zarzuca się nam krzywdzenie ludzi, ale druga strona nie przedstawia na to żadnych konkretnych dowodów. Ten rodzaj terapii nikogo nie krzywdzi, za to zakazanie nam działalności z pewnością odbierze wolność tym, którzy szukają pomocy.

Doktor Davidson podkreśla przy tym, że on sam oraz jego współpracownicy z CIT unikają określenia „terapia konwersyjna”. – Ten termin stał się pałką, którą LGBT używa, żeby uderzyć drugą stronę. Samo pojawienie się w dyskusji tego terminu sprawia, że jest ona nie do wygrania dla obrońców tradycyjnych

Czy bank może odciąć organizację od usług finansowych z powodu krytykowania przez jej działaczy ideologii LGBT?

wartości. Aktywiści LGBT zrobili bardzo wiele, by „terapia konwersyjna” kojarzyła się u nas mniej więcej tak samo jak „elektrowstrząsy”. Trzeba się pogodzić z taką rzeczywistością – podkreśla dr Davidson. – My po prostu staramy się pomóc ludziom, którzy takiej pomocy sami poszukują. Niektórym udaje się wyjść na prostą, a inni nie zmieniają swojego życia. Myślę jednak, że w każdym przypadku rozmowy z nami pomagają tym ludziom. My tak naprawdę zapewniamy bardzo szerokie wsparcie, ponieważ pomagamy również ludziom wyjść z uzależnienia od pornografii, a to potężny i narastający problem dla naszego społeczeństwa.

Opiekę prawną CIT zapewnia Christian Legal Centre. Jego szefowa Andrea Williams nie ma złudzeń, że rządy Partii Konserwatywnej są dla brytyjskich chrześcijan lepsze od rządów ich politycznych przeciwników z Partii Pracy. – „Partia Konserwatywna” to tylko nazwa, w rzeczywistości to lewicowcy. To Partia Konserwatywna wprowadziła u nas małżeństwa gejowskie, poluzowała prawo w kwestii ochrony życia, pozwoliła na to, by nasze dzieci niewłaściwie nauczano na temat seksu, a także ma swój udział w upowszechnianiu ideologii gender – powiedziała w rozmowie z „Do Rzeczy” Andrea Williams. – Chrześcijańskim żyjącym w Wielkiej Brytanii jest coraz trudniej, ale to nie znaczy, że mamy się poddać – podkreśla Williams.

TO DOPIERO POCZĄTEK?

Jej zdaniem uderzenie w swobodę działalności CIT to dopiero początek. Jeżeli sąd pozwoli bankowi na takie traktowanie chrześcijańskiej organizacji, to w kolejce do ataku będą następni.

– Ludzie generalnie nie dostrzegają wielkiego znaku ostrzegawczego, którym w istocie jest ta sprawa. Nienawistna kampania aktywistów LGBT wymierzona w Core Issues Trust rozkręcała się przez ponad dekadę – mówi Andrea Williams. – Wezwania do zakazania

„nienawistnych modlitw” i „praktyk konwersyjnych” pokazują, że jeżeli teraz uda się dopaść terapeutów, to następni do uderzenia będą duchowni. Rząd musi usłyszeć ten dzwon alarmowy i powstrzymać kolejne ataki motłochu w mediach społecznościowych. Trzeba chronić prawa organizacji chrześcijańskich, które są wierne Biblii. Każda z nich ma prawo być obsługiwana bez nietolerancyjnej dyskryminacji.

Doktor Mike Davidson ma nadzieję, że sąd poważnie podejdzie do wypowiedzenia umowy przez bank. Jak podkreśla, mimo że na rynku są inne instytucje finansowe, z których usług może skorzystać, to nie można pozwolić, by doszło do takiego precedensu.

– Już dwa lata czekamy na sprawiedliwość w naszej sprawie. Bank Barclays wykazał się niepokojącym brakiem dbałości i skruczył za to, w jaki sposób jego działania odbiły się na naszym funkcjonowaniu – mówi dr Davidson. – Najwidoczniej bank nie zastanawia się też nad tym, że to precedens, który może wpłynąć również na inne podmioty. Czy jesteśmy sobie w stanie wyobrazić, co by się stało, gdyby jakaś organizacja LGBT została potraktowana w ten sposób? – pyta.

Jeżeli w mediach społecznościowych można zorganizować nagonkę, której efektem jest przymuszenie banku do zamknięcia konta chrześcijańskiej organizacji, to chrześcijanie wierni Biblii nie mogą się już czuć bezpieczni.

Doktor Davidson przekonuje, że wiele wierzących osób o skłonnościach homoseksualnych, które z własnej woli zgłosiły się do CIT, zmieniło swoje życie i dzięki temu nie odczuwa już konfliktu w sumieniu. O tym, że taka terapia faktycznie może działać w niektórych przypadkach, ma świadczyć jego własna historia. Doktor Davidson nie ukrywa bowiem, że w młodości sam odczuwał pragnienia o podłożu homoseksualnym.

– Byłem już żonaty i myślałem, że mam to za sobą, ale to jednak nie było takie proste. Te pragnienia zaczęły wracać. Doszło do tego, że zrozumiałem, iż muszę iść do specjalisty – mówi dr Davidson. – Chodziłem na terapię przez 2,5 roku. I udało mi się. Dzięki temu uratowałem małżeństwo. Dlatego reaguję bardzo emocjonalnie, gdy słyszę, że ktoś chciałby zakazać ludziom poszukiwania pomocy w tych sprawach. Po sobie wiem, że można zmienić swoje życie.